

ZIEMIA

HISTORIA ZEMSTY

EMILIA SKIBA





Polska, rok 1846.

To fałsz. To nie ta historia, Polski nie ma na mapie.

Ziemia to opowieść o ludziach, na których losie zaważyła próba zmiany tej historii. To obraz feudalnych zależności, które doprowadziły do wydarzeń zapamiętanych jako rabacja galicyjska.

Uzupełniają się tu dwa wątki: pańszczyźnianego układu chłopi-szlachta, z centralną postacią Szeli i rodziną Boguszy, oraz świata żydowskiej karczmy, gdzie spotykają się wszystkie warstwy społeczne, a w dniu swojego wesela zostaje zamordowana córka arendarza, Rachel.

Nad utrzymaniem tych zależności czuwa starosta tarnowski, Breinl, który nie ma żadnego interesu w tym, aby system uległ zmianie. Zaś wieść po okolicy niesie, że do tego dążą Polacy przygotowujący antycesarskie powstanie.

Kontakt w sprawie spotkań autorskich: ziemia.ebook@gmail.com

© Emilia Skiba 2020

CC BY-NC-ND



Zrealizowano w ramach programu stypendialnego
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego -

- Kultura w sieci

[Kup książkę](#)

01



ŚNIEG I KREW



[Kup książkę](#)

01

01



GALICJA
CESARSTWO AUSTRII
CYRKUŁ TARNOWSKI
POCZĄTEK ROKU 1846



[Kup książkę](#)

01

ŚNIEG I KREW

Mgła wisi w powietrzu od rana, otula głowę mocniej i mocniej a tajemność jaką w niej czuć. Mrozem ściętą, dzięciołów bębnieniem i jemiółuszek gwizdaniem. Jak w tych pieśniach strasznych, co dziady wędrowne po dziedzińcach śpiewają.

Jemiółuszki od strumienia słyhać. Tam i bogatki niedawno świergotały swojemi dwójkami pcyt pcyt, trrrnyy trrrnyy albo trójkami itiiti itiiti itiiti, incinc incinc incinc. Widać coś je spłoszyło, bo ostatnie trrrnyy trrrnyy przeszło w skrzeczące czczczczy czczczczy i tyle słyhać. Jemiółuszki się ostały, niezmordowanie gwizdzą triii triii, triii triii, triii triii.

Kiedyś mnie mówili, jakoby jemiółuszki z gałęzi spadały. Sam żem nie widział, ale ponoć jak spadać będą, to wpierw resztką sił siedzą, skrzydłami chybotliwie trzepoczą i tak się gibią. Gibią się gibią i spadają. Od jarzębin i jagód przejrzałych. Cały dzień jagody jagody ach jagody! jagody! a ile taka jemiółuszka jagód pożreć może? Jak się później gibie, to pewno sama nie wie, bo jakby wiedziała, toby się nie gibała. Gibać to my się możemy, my to nawet musim, inaczej za bardzo byśmy mróz na rękach czuli.

Na co takim ptakom się upijać, mnie nie wiadomo. Piór dość mają, do zjedzenia zawsze co znajdą, fruwać wkoło

wszędę mogą. Ba, nikt nad niemi nie stoi i nic im nie każe, za nic ich nie karze, batem kijem nikt nie goni, to nie mają o czym nie pamiętać.

–Szy! – uszy przebiło mnie syknięcie z prawa, aż nóż zadrżał w dłoni. – Chwyciłem go mocniej i raz-dwa-raz-dwa, kory uciachałem więc, coby mnie wuj nie popędzał. Jak tu naciachać szybko, jak od przedwczora ręce mam w bąblach mrozowych takich, że nic, jeno czekać aż pękną. Mróz nie mróz, rób to rób tamto, rękawic nie ma, zlituj nie ma. A przy niedzieli jeszcze do lasu idź, kory odrapać, coby do pieca była, a pewno i do gara. Co robić co robić. No, nic.

–E! – to pewno czego chce, jak tak woła, oglądam się, on już obok tuż obok. Zniszczone buty zapadły mu się w świeżym śniegu, z tamtej strony akurat żem nie udeptał. I pewno zobaczył, że tam kora nieruszona, bo nóż ode mnie siłą bierze. A niech tam, sam niech tam korę tnie. Ale nie, szturcha mnie.

–E, w niebo patrz – nożem w górę pokazuje.

Uniosłem oczy. Tam mgła większa nawet wisiała, tym nożem by ją ciąć albo i siekierą.

–Okolo sosien – wuj dodaje a się wpatruje.

W ich koronach migały ostatnie promienie mdłego słońca, pojawiały się znikwały pojawiały. Z echem leciało od nich wołanie orla. On tam wysoko daleko, wypatrzyć nie ma jak. Jak go wuj wypatrzył, mnie nie wiadomo, jemu przecie oczy już nie służą. Może na słuch wypatrzył. Ale już nie patrzy, to ja nie patrzę też. Raz-dwa-trzy-raz-dwa-trzy, wuj ociosuje korę, leci spada, to zbieram, coby nie namokła, a wór podnoszę, coby prosto do wora szystko szło.

Dzięcioł znów dudni, pewno my mu drzewo odrapali. Co dzięciole chcesz, jak z lasu każdy by co chciał, las dla szystkich jest, choć nasze dziedzice pany skurwypany by nam tu

wchodzić zakazali, jakby mogli. Bo szystko ich ich, nawet jak sami tej kory, tych grzybów jagód ach! jagód jagód nie zbierają, ale by zakazali, coby my zbierać nie mogli. Ale my byśmy wyzdychali. My bez lasu tego, a dziedzice pany bez nas. Co byście uczynili. Kto by wyżył kto. To zbierać mozem, co uzbieramy, byle nie za dużo.

Za taki przywilej na jesieni musim dla dziedziców panów uzbierać grzybów i jagód i szystkiego. Po zeszłym żniwie mnie przyszło z matką zbierać, bo siostrę do czego innego wzięli. To myślę, uzbieram im szelmostwa jakiego. Jenó matka mówi mnie, byli już tacy byli, głupi oni, bo jenó karcer i baty dostali. Głupi ty.

To żem nazbierał prawdziwków podgrzybków, bo na co mnie baty katy. Mie do końca życia by starczyło, co dostałem, a przecie za inne winy niewiny a wszelkie przewiny mnie przyjdzie jeszcze nieraz brać. To za grzyby nie.

Ta Maryś, co u nich w kuchni szystko widzi, mówiła, że sami chodzą, jak iść można w pogodzie słońcu. Sami mało co przynoszą albo nic, ale skądś gdzieś się dowiedzieli, jaki grzyb dobry, jaki nie. To baty nam. A ty dziecióło dudnić możesz i szczekać na nas swoim czeczecze czeczecze, a my i tak korę drapać musim.

Wuj znów patrzy w drzewa w niebo, ja za nim, ale tam nic nie widać nie słyhać, to do innej sosny odrapywać idziem. Wór ciężkawy już, to i wnet stąd pójdziem.

–Szy!

No co znowu. Coś szamocze się piszczy, od ziemi ten szelest pisk idzie. Wuj kroki drobi a śnieg nie skrzypnie nawet. Przystaje, rozgląda prawo lewo, co za szczęście siedzi tu. W prawo lewo rozgląda się. Nic nic nie widać, bierzże bierz. Mały ten zając w siłkach siedzi, to akurat, przecie byle nie za

duży był. To schyla się, siłuje trocha, nożem sobie pomaga, ja patrzeniem pomagam. Szybko szybko do wora weźmiem zająca a ucieknem od razu, bo kory dość. Od przymrozków my mięsa nie mieli, a jak później nic nie znajdziem, to i do wiosny nie zobaczymy. Rok w rok tak rok w rok.

Co to co to.

Powietrze drgnęło wybuchło. Strzelają tu gdzieś. Dźwięk się rozchodzi, do mnie przychodzi, we mnie uderza ten dźwięk. W plecy mnie strzelili, w plecach czuć, tam szarpie. Osuwam się w śnieg, chłodny zimny, głowa się z nim stapia. Z prawa oczy widzą tego syna psiego. Zauważył nas zauważył, a my go nie widzieli, na słuch nas wypatrzył.

Leśniczy panie, jam nie sarna, co przy strumieniu piła. Sarnę byś zjadł, a ja com ci uczynił. Co ze mną zrobisz co uczynisz. Zakłąć możesz, szlag by, bo grzybów więcą nie uzbieram ani pola za darmo nie obrobię. Szlag by tobie.

A ty wuju po coś wołał, po coś mówił w niebo patrz. Przecie leśniczy pan w mrozie głuchym szystko słyszy, powinienes ty wiedzieć lepiej. Szept by usłyszał, a tyś mnie bez powodu wołał, żeby na tego orla patrzeć, a to powód żaden. Orzeł do patrzenia mnie niepotrzebny, mało go widziałem, w ogóle nie widziałem, skrzek słyszałem. Na słuch wierzyć musiałem, że tam w niebie jest.

Z trudem oczy obracam, gdzie biegiesz gdzie. Siebie ratujesz a mnie tu w śniegu, ach! śniegu śniegu nie mroź mnie. Byłbym jeszcze pożył, a ty uciekasz i zostawiasz mnie sobie samemu i ziemi na pochłonięcie. Ona zamarznięta, mnie nie chce. Ta matka, co nas zimą karmić nie chce. Latem w bagno bym wpadł albo rzekę, toby mnie wzięła, a teraz jam jeno kości liche. To nie weźmie mnie.

Tyś pobiegł i kto wie kto wie czy komu powiesz. Ja widzi-

alem, co innym robisz. Ale korę tu masz, to wrócisz, mnie weźmiesz też. Żywego martwego weźmiesz. Jak martwego, mniej do wykarmienia matce ziemi będzie. Jak kamień przy drodze jeden z drugim mnie kopnie, ale na koniec podniesiesz i na swoje miejsce na wieczny spoczynek odniesiesz. Do rzeki mnie, tam kamieniom dobrze. Nam o rzece nie mówią, a do nieba piekła, do piekła nieba, komu komu. Gdzie mnie do nieba. Do piekła przecie też nie. Piekło tu mnie teraz dzieje się, plecy rwą, krew uchodzi.

Raz dawno młody wikar pan rzekli, że jeszcze co jednego do wyboru w tych księgach pisane jest. Nam w tych księgach pisane. Później stary pleban mówił, że wikar pan za dużo nam nagadał. Ale czyściec powiedział czyściec, to do czyścica dajcie mnie.

A czy mnie tak wybierać wolno. Tu nie wolno, ale może tam wolno. Do czyścica mnie, jeśli można. Jenó za jednym razem nie spałmiałem, jak tam jest, a dziedzice pany i stary pleban więcą mówić nam nie chcieli. Jak nie chcieli, to może tam dobrze jest. Wiecznie jenó niebem piekłem upominają, piekłem niebem straszą. Kuba Szela by pamiętał, co raz dawno mówili, Kuba więcą o księgach pamięta. Jenó teraz spytać nie ma jak. No, nic. Jak ten czyściec pośrodku, to mnie akurat, tam źle być nie może, jak pośrodku, mnie akurat.

To ręce składać, lewa prawa składam. Wieje na mnie chłód ostateczny sąd ostatni. Chłód ręce na mnie kładzie, mnie ręce składać trza. Bąble na nich pękają, osocze płynie, jak łzy nie płyną, to osocze chocia. Usta oczy zamykać, ręce składać, od powietrza, chłodu ostatniego, wybaw. Kto mnie ach! wybaw mnie, wybaw nas. Komu komu mnie wybawić. Bąble pękają, łuszczą się, czemu patrzeć muszę, co wy co wy.

Ten znów skrzeczy, to ja oczy w górę. Znad sosien przyleciał.

Po coś tu jest, wysoko daleko w niebie. Wcześniej byś się pokazał, to ciebie leśniczy pan by strzelał, a nie sarnę, nie mnie zamiast tej sarny.

Czego szukasz, pewnieś głodny. Jak my głodny, jak tu latasz zamiast w górach siedzieć, w gnieździe, w grocie. Zając bierz, ja kości same, choć nie padlina jeszcze. Nam ziemniaka się nie ostało, deszcze były słota. On w sidłach siedzi, łatwiej złapiesz. Leśniczy pan dźwiękiem hukiem ciebie trzaśnie, mnie tykać nie będzie.

Jeno gdzie lecisz gdzie. A wuj gdzie uciekł gdzie. Leć precz leć, tu wiele nie znajdziesz, a z życiem ujdiesz. To i ja i ja chcę z życiem ujść, mnie ze śniegu wstawać trza, co od krwi mojej własnej już bordowy ciemny. Kto wie kto wie. Sam wiedzieć nie będę, jak wstać nie spróbuję.

Wiatr zawiął śniegiem świeżym rzadkim jak ta kasza manna najrzadsza, a z nim słowa płyną rzadkie. Słów nasłuchuję a pomału wstaję i w słońce patrzę, co już do ziemi schodzi. Boże, wejrzyj ku wspomózeniu memu, ze śniegiem głos mówi a swojski mnie się zdaje. Panie, śpiesz ku ratunkowi memu, trzy głosy nieszpory mówią.

Pewno przed słońca zachodem do dom pójść nie zdążyli. Widu po nich nie ma, na słuch znów patrzeć trza. Na co mnie patrzeć, jak ja ledwie stoję, o sosnę opieram się. Lepiej wuj by wracał, po korę i zającą tego, on ciągle w sidłach dycha. Nie padlina on a nasz cały cały. Na wiek wieków niecha wszędy słynie.

Co co znów, znów dźwięk uderzył huknął. Gdzie on gdzie. Ręce nogi moje, się telepią. Ale nie padam nie, to nie we mnie strzelił. To z sosien śniegiem grzmotnęło, chmurą chmarą po okolicy pył rozszedł się. To tym razem nie mnie nie.



Dzwon kościelny zabił trzy razy. Tyle na palcach jednej ręki zliczę i dwa zostaną. Na drugiej pięć. Dziesięć palców u dwóch rąk. Więca niżli tu niektórzy mają.

Liczyć uczy mnie Józek, co trzy chałupy od nas mieszka. Starszy ode mnie, ile років – policzyć nie umiem, bo nikt nie pamiętny, kiedy mnie naprawdę się urodzić przyszło. Ciotka mówi, że na wiosnę po tym, jak ojciec mój w góry zbiegł, gdy do wojska mieli brać a w polach dworskich też robić nie chciał. Józka już do pilnowania gęsi odsyłali, to chodzić umiał. Później ojciec go na lekcye dawał. Z tego pisać i liczyć umie, a mnie uczy, jak nie muszę ciotce pomagać i widno jest. Józek mówi, że pošłą go do szkół do miasta Tarnowa. Mnie nigdzie nie pošłą, nawet jak nauczę się tyle, co on.

Czasem myślę, on może co chce. Raz pytam i nie, mówi, nie. Jak mnie uczy, to sam więcą rozumie. Myślę – to i ja później uczyć kogo będę.

Teraz jadą jedne sanie i jeden wóz, liczyć nie potrzeba. W saniach siedzą dwie panie i dwóch panów i dziecka jedno. Pięć. Na wozie dwie dziewczuchy, cztery baby, chłopów trzech. Dziewięć. I pięć dziecia upchniętych między niemi. A koń sam jeden ich szyszkich ciągnie.

Inni na piechotę. Dziesięć i sześć. W kozuchach i butach wysłużonych. Póki na grzbietach im się to nie sypie, do kościoła się nada. Nie grzech przecie, byle nie zamarznąć. Grzech, mówią dziedzice i proboszcz pan, to w biedzie się urodzić, to pokuta za występki. A jak kto mszy słucha, to trocha lepszym może być. Jenó u nas są i nędzniki takie, co do kościoła zimą przyodziewku żadnego nie mają. Jakby u nas takich zliczyć,

naraz by palców nie starczyło.

Czasem myślę – to dobre ludzie są, jakie grzeszniki. Jeno nic jakoś, ot tak, nic nie mają. Ani ziemi, ani strawy, ani wytartego kozucha. Pewno im tak samo matka zmarli, ojciec uciekł albo do wojska wzięli. Mnie się poszczęściło, mnie ciotka wzięła. Swoich dzieci do wykarmienia nie ma, a jam pomoc wielka. Z nieba jej spadłam, tak mówi. To pomagać zawsze powinnam, tak mówi.

Dziecia na wozie wyciągają języki, łapią z powietrza płatki śniegu, chichoczą. Może i ja tak robiłam, jak mnie kiedy zimą wozem wieźli. Pieszko jeno mróz szczypie w nos, w oczy, pochłania policzki.

Cały wóz wstaje, kłania się, czapy z głów gospodarze ściągają. Sanie suną obok, pokłonić się trzeba. Wokół czapami do ziemi machają aż śnieg się wzbija. Kłaniam się i ja, choć ode mnie sanie daleko. Lepiej kłaniać się z daleka niż z bliska kija widzieć. Pojechały sanie naprzód, panowie zadowoleni. I gospodarze zadowoleni, czapy nakładają, kilku się do dziewczuch szczyrzy. Chudzielca ojciec szturchańcem poprawia, niech się do Kaśki nie szczyrzy. Kaśka już innemu obiecana, na co jej nędzny chudzielec.



Ta Kaśka Jaśkowi obiecana, za dużo gapić nie będę, ale tak trocha, to kto mnie zabroni. Na nią to każdy by gapił. Mnie ten łańcuch dali, w szyję ciśnie uwiera, to w jej stronę patrzeć muszę, jak szyją przekręcić nie mam jak. Na gębie pewno cierpienie wielgie mam, śnieg na głowie mnie osiada, usta od mrozu dygoczą. Każdy moje cierpienie widzi, nikt

napominać nie będzie. Każden na mój widok zęga się, ledwo z wozu schodzą, już zęgnają się. Pewno ze strachu, co by ich na pokutę dziedzice pany tak samo nie wystawili. O, Kaśka zęga się. Może i cokolwiek żałuje mnie, a nie jeno boi się.

Całą mszę tkwić mnie w tej kunie żelaznej zimnej, jak psa do kościoła tym żelastwem przytwierdzili mnie. Ręce związane, w szyję uwiera, w plecach rwie, choć krew nie leci już. Co robić co robić. No, nic.

Kożuch, czapę buty zabrali, zlituj nie ma. Stopy pocieram jedna o drugą, co by nie zamarzły. Za mocno nie mogę, bo jak zobaczą, że pocieram, to baty katy mnie. Tyś grzesznik, mówią, na pokutę tu stój, więcą kraść nie będziesz, chamie świniarzu szelmo psie jeden. Jakbym kraść nie musiał, tobym nie kradł, dziedzice pany wy skurwypany. Jeno my ziemniaka ostatniego zjedli na wielgie święto, gdy się Chrystus rodził. A dziedzice pany piwnicy nie pilnują, to my z wujem wzięli, jak widzieli, że otwarte.

Z sań wysiadać a głów nie odwracać, dziedzice pany. Wam patrzeć, jak my do ściany przytwierdzeni i zmiłować się wam przy niedzieli trza. Jeno wam łatwo do kościoła od razu iść. Ale jak głowę odwrócicie, to z drugiej strony drzwi wam na żebraków patrzeć trza. Tym nic nie zostało, nawet chałupa najnędzniejsza. Dzieciowi monetę samą jedną dajecie, co by im rzucił. Ja widziałem, co innym robicie. To ten Antek, ten Antek, co mu pola obrodziły, on więcą rzucił. On po kawałku chleba ach! chleba chleba chleba im dał.



Tam cztery kawałki chleba Antek żebrakom daje. Każdemu po jednym, dzieciowi też. Po drugiej stronie w kunie zamknięty ten huncfot spod lasu, co go Józek też liczenia czasem uczy, a ciotka mówi, żeby z takich huncfotów z dała omijać, boć oni to samo skaranie boskie. Obok wuj jego, co z niemi w chacie mieszka, bo jego spłonęła. I trocha ziemniaków rozsypanych w śniegu. Ot, cała ich przewina. Ziemniaków dziesięć i siedem. Zmarnują się. Panowie na koniec zabiorą. Przemarzną, a panowie takich nie jedzą. Świniom dają, tak ciotka mówi.

Józek opowiadał, jak ojciec w kunie całą niedzielę kiedyś musiał stać. Panów srogo rozgniewał, a oni wcześniej rozgniewali jego. Ale w kunie jeno panowie więzić mogą. Józek nie mówił, jaką miał przewinę. Odestał na mrozie tyle, że krew się w niem zebrała i dotąd nie zeszła. Z tego więc i więc suplik i skarg na panów pisze. Pisarz mu pisze, mówi Józek. Jak Józek się dobrze nauczy, on będzie pisać. Pewno i temu huncfotowi napisze, jak chceć będzie. Do sąsiada inaczej przyjść niżli do pisarza, co jeno na monety by patrzył.

I oni do kościoła idą. Dzwonnicy nie mineli, a wiadomo. Ojciec Józka nosi kapelusz z piórkiem czerwonym, z daleka migocze. On jeden taki ma. I płaszcz długi do ziemi. Józek mówi, że jak do szkół pojedzie, taki sam mu sprawią. Matka Józka w kozuchu nowiuńskim, że hafty błyszczą. I butach, że mrozu pewno nie czuć. Poszczęściło się jej. Młodziuchna była, rumiana jak korale weselne, pewno, że taką młodą chciał, tak ciotka mówi.

Ojciec Józka twardo stąpa po ubitym śniegu, jakby pod nogami chciał ziemię poczuć. Co krok lepiej widać, że w oczach i pod wąsem ma zaciętość taką, jakby pan ręce do całowania mu podstawiał. Jakim prawem mam całować ręce, co bat trzymają, tak mówi. Józek mówi, że tak mówi. Ale całuje,

jak kaźden. W pól drogi odsyła Józka z matką ku drzwiom. Sam do kuny spieszy.

–Niecha będzie pochwalony – mówię ze schyloną głową do matki Józka, gdy przechodzą obok.

–Na wiek wieków – odpowiadają prawie równo, Józek troszeńkę uśmiecha się. Matka bierze go pod ramię i do kościoła prowadzi.

Józek pewno posłyszał, jak ojciec uwięzionych powituje, bo zaraz z powrotem wychodzi zanim na dobre znikneli za drzwiami. Staje dalej ode mnie, tak matka mu nic nie powie. Oczy mu błyszczą, jak na ojca schylonego patrzy, co uwięzionym stopy rozciera.

–Szelo, przetrzymamy – wuj huncfota mówi z dziwnym westchnieniem.

Ojcu Józka może mówić. On swoje wie, swoje odestał i nogi odmroził. Ale jak huncfot syczy, prędko podnosi się, rozgląda, kilka kroków odchodzi. Niesie się brzęk dzwonków, z daleka słyhać, jak dwójka sań jedzie. Z Józkiem patrzymy po sobie, bo ojciec znika za rogiem.

My z drugiej strony idziemy, żeby drzwi zakrystii widzieć, a ojciec Józka nie widział nas. Puka do drzwi. Raz, dwa. Cisza. I raz, dwa, trzy razy, mocniej. Drzwi uchyla dobrodziej wikary. Gdy zmrużyć oczy, widać jak chłód spod drzwi ciśnie się między niemi.

–Niecha będzie pochwalony Jezus Chrystus przenajśłodszy – ojciec Józka ze spokojem zaczyna, a dobrodziej wikary przytakuje. – Moście dobrodzieju, na rany Jezusa za nasze grzechy ukrzyżowanego...

–Nie ja decyduję – dobrodziej przerywa. Widać dalej słyszeć nie potrzebuje.

–Tako uniżenie błagam, byście mocą swoją do plebana

wielebnego mie na słówko wpuścili. Toż mrozisko trzyma – ojciec podejmuje. On tak prędko nie odpuści, nawet jak przed dobrodziejem głowę pochyła.

–Do sumy się szykuje. Gospodarzu, przecie nie my tu decydujemy – odrzuca dobrodziej i drzwiami mu przed nosem trzaska.

Patrzę na Józka. Przytrzymuje mnie i kiwa, by patrzeć dalej.

–Tej kuny być nie powinno. Cysorz dawno zakazali. Myślą dobrodzieje, że jak chłop prosty i czytać nie umie, to nic o świecie nie wie? – ojciec tak umie mówić, nawet jak mu zamykają.

Cisza.

Cisza.

Ojciec żegna się. Zaciętość z oczu przeszła mu na ręce, trzy razy żegna się. Zawraca i znów śnieg skrzypi mu pod butami. Dzwon trzy razy bije. Patrzymy z Józkiem po sobie. Prędko, wracamy. Byłe nas ojciec z drugiej strony nie wypatrzył.

Wychylamy się troszeńkę. Ojca nie widać. Sanie zajeżdżają prawie pod główne drzwi, a gospodarze wokół zamaszycie czapy ściągają i kłaniają się. Kłaniamy się i my, choć pewno nie widzą, za blisko żebraków stoimy. Na nich patrzą jeno w przymusie. Jakby się im przyjrzeć chwilę, z samej gęby można zliczyć, ile życia im zostało. Tym trzem dwie niedziela jeszcze widzą się, z tą trzy będzie. Dla dziecka niedziel więca nie będzie.

W zielonych saniach pani Eufrozyna się podnosi, w płaszczu i sukni śliwkowej, jak co niedzielę. Nadziwić się nie mogę, jak to inne panie w różnych sukniach przyjeżdżają, a ona zawsze w tej jednej. Może ze starości ta jedyna się jej ostała, myślało mi się. Ale pani dziedziczka stara więca roków musi mieć, a w sukniach przyjeżdża różnych. Nie słyszałam, by kto kiedy o tym gadał, a ciotki pytać nie wypada. Pomyśli, że na służbę do

dworu bym chciała. Tam najgorsze bicie. Już lepiej w polu dla nich robić niż we dworze samym, tak mówi.

Pani Eufrozyna schodzi raz-dwa. Z oczu idzie zaciętość jak ojcu Józka, jeno twarz inna. Jakby piołun połknęła albo jabłka ledwo wyrośnięte. I do kuny idzie.

– Niecha będzie pochwalony, pochwalony niecha będzie – huncfot i wuj od razu spieszą, kiwają głowami najniżej, jak w tych obręczach mogą. Pani kiwa z powrotem.

– Cóż wyczyniasz, chłopcze? – pani nie odwraca się, a wiadomo, do kogo mówi.

Z sań bordowych skacze pan Wiktoryn. Łąduje pokracznie, jakby od słów rzuconych w powietrze dało się poślizgnąć. Mocno sań się chwyta, aż skórzane rękawice mu skrzeczą. Poprawia kapelusz i do kuny idzie. Patrzymy z Józkiem po sobie. Szkoda, że ojciec do kościoła wszedł.

– Przecie ciotka widzi, że zasłużyli – pan odrzuca, ale bardziej patrzy, żeby w śniegu się nie poślizgnąć. I tak wiadomo, do kogo słowa mają iść.

– Zasłużyli. U mnie na służbie mieli zasługi. Wypuść mi ich, ale już.

– Do mnie przeszli, moje chamy – krzywi się pan i już pod kuną stoi, a podbródek zadziera tak wysoko, jak jeno on może.

– Niedaleko pada jabłko. Waść też nic nie pojmujesz. Już po wikarego – pani może mówić „wikary”, jeśli zechce, a mnie nie można, tak mówi ciotka.

– Zasłużyli.

– Na miłosierdzie przy niedzieli.

– Nie zasłużyli.

Pan podbródek zadziera wyżej a na gębę huncfota patrzy. Temu usta drgają, jakby litanie odmawiał, choć jak go znam, modlitwy żadnej nie mówi. Oczywiście mu czekały na co. Pani

jeno brwi ściąga, usta zwija i odwraca się do brzdęka, co z sań się przypatruje.

– Adasiu, pędź po klucz do księdza. Mów, że ciotka Eufrozyna prosi.

Brzdęk rozgląda się, jakby nie wiedział, że do niego mówią. Pani wbija oczy najprzód w pana, ten uśmiecha się od niechcienia. Znow patrzy na brzdęka, ten dalej nie pojmuje. Pani pokazuje ręką w stronę ścieżki do zakrystii. Gdyby mnie tak ciotka pokazała, od razu bym wiedziała, że tam biec trzeba.

Z Józkiem zerkamy po sobie. Nam się nie zwidziało, od zakrystii ojciec idą i dobrodziej wikary.

– Jeno przez wiek drogiej ciotuni im daruję, nerwów Bóg oszczędzi – pan wprost do oczu pani mówi.

– Waść ziemniaków szczędzi – pani odpowiada ze spokojem, aż chłód od niej bije. – Mają wam zdechnąć? Mogą do mnie wrócić, jeśli wam już niepotrzebni.

Pan oczy mruży i teraz pan ręką pokazuje. Najprzód do sań bordowych. I do kościoła. To w saniach pojmują. Schodzą dwie panie i pan jeden i ten brzdęk. Z panem Wiktorynem pięć państwa w saniach było.

Pan sam do kościoła nie idzie, jeno do dobrodzieja wikarego unosi kapelusza. Ten głową kiwa nieswojo, jakby go przepraszał. A panią po rękach całuje, raz, drugi.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, droga pani Eufrozyno – wita ją pospiesznie i trzeci raz po rękach całuje.

– Na wieki. Ksiądz zapewne pamięta, że to do niedawna moi chłopci byli? – powoli a głośniejszym głosem odpowiada pani Eufrozyna.

Dobrodziej głową kiwa a po klucz sięga i uwalnia z obręczy huncfota i wuja. Raz, dwa, trzy, cztery kroki odsuwa się, jakby się czem spłoszył. Pan Wiktoryn razem z nim przystaje. Na ojca Józka spogląda, co z boku bardziej stoi, jak jeno on

popatrzeć umie. Dobrodziej za niem patrzy.

– Najmilsza ciotunia na ołtarze pańskie zasługi zbiera – rzecze pan, po trochu do dobrodzieja, po trochu w powietrze.

– Ksiądz proboszcz rozmówi się z waszmością po sumie i wynagrodzi – dobrodziej ciągle nieswojo brzmi.

Wokół ostatni gospodarze do drzwi spieszą. Z daleka czapy ściągają, ukradkiem kłaniają się i do ojca Józka. Huncfot z wujem u stóp pani, pokłony biją, święto mają.

– Mój Wincenty was odwiezie. Mszę zmówicie przy innej okazji – pani mówi a odsuwa się.

– Niecha moście dziedziczkę Panienska Częstochowsko błogosławi! Niecha błogosławi! Niecha błogosławi! – wuj w kółko powtarza, jakby wierzyć mu się nie mogło. – Niecha moście dziedziczkę! Błogosławi!

Huncfot z każdym pokłonem w bok zerka. Pani za niem zerka.

– Te ziemniaki to ze sobą weźmijcie – tak im każe i odsuwa się dalej.

Zrywają się, jakby te ziemniaki kto im miał zabrać. Dziesięć i siedem. Każden by chciał, ale co po takim chceniu, jak tu na widoku pod kościołem i przy pani. To jeno oni mogą, jak im pani dała. Pani znów sanie pokazuje, oni znów pokłony. Do drzwi pani idzie, po monecie żebrakom rzuca. Raz, dwa, trzy monety. Patrzą jak z błyskiem wpadają do ich czapy. Pokłony znów, a ten, co dziecia śpiącego na rękę trzyma, dziecia jeszcze wysuwa do przodu. Pani patrzy, czwartą monetę rzuca. To dziecia może i następną niedzielę zobaczy. Raz, dwa, trzy pokłony.



Drzwi lekko zaskrzypiały, za chwilę domkną się. Jeszcze chwila, chwila – cisza – mogę wyjść. Otwieram przenajciszej. I tak skrzypią. Dlaczego nie spostrzegłyśmy wcześniej? Rano trzeba czym posmarować, Rachelko.

Na dole nic nie skrzypi. Chwila, chwila – i za oknem migają płomienie dwóch lampek, wydzierają nocy trzy sylwetki. Tym razem przyszło dwóch. Idziecie ku stajni, ten niższy zostaje na warcie. Płomień w jego lampce drga. Odwraca się od wiatru, śnieg przytrzeszczał mu pod butami. Płomieniowi dodało to nieco pewności.

Wychodzicie. Metal brzęczy w pokrowcach. Jednak za luźne uszyłyśmy, za mało czasu. Przekazujesz swój pokrowiec niższemu, twoja lampka gaśnie. Ale jedna wystarczy, by przejść pod daszek. Dlaczego oni zostawili konie pod daszkiem? Karczme dawno zamknięta. Nie za bardzo na widoku? Co jeśli kto przypatrzy? Co to za konspiracja?!

Niższy mocuje pokrowiec przy siodle, co za niezręczność w rękach. Aż chciałabym wiedzieć, po co czasem takich wysyłają. Ze swoim bohaterem w objęciu trwasz, ten przynajmniej ma prezentowalność. Ach, Rachelko!

Chwila, chwila – obaj odjeżdżają. Rozglądasz się – pewnie nic, skoro gasisz drugą lampkę. Odwracasz się ku drzwiom i wnikas w zimowy mrok, chmurami śniegu skrzący.



Cosi za uchem szczypie. Co mie tam wlażło, z czapy co, z kożucha, ze sosny ze śniegiem na mie spadło co? Podrapałbym się abo w górę popatrzał, coby sprawdzić. Ale tu modły,

poważność zachować trza. Bóg błogosław, a mie tym mrozem srogim dalij pomagaj. Twarz przymarzła, to i poważność sie mie trzymie. Ino okiem łypnąć moge tu i tam.

Tam szkapa stoi, jako tako dycha tam, choć przymarzła biduła jak my same. Tu mój Jasiek stoi, tak samo dygocze. Ty mie tu nie dygocz, to twój dzień wielgi. Raz-ciach, przysługe chłopaku będziesz mieć. Troski zabierze. Oj, w modleniu sie pogubiłżem. A.

– A na wiek wieków niecha wszędy słyńie. Amen. Alleluja – równo z Kubą i Jaśkiem kończe, a słowa nie w górę, ino z wiatrem gdziesi w bok niosą sie.

Kuba oczami pokazuje pieniek, co my z niego śnieg już przedtem strzepneli. Jasiek na mie łypie, na Kube łypie, na pieniek i znowuż na mie. Noż Jaśku, pod pieniek, raz-ciach.

– Dyc nie ponna. Myśłoł, żem se syna lepij chował – godam mu żywo, boć czego mu sie bać.

Idźże, dobryś chłopak, Kuba w cierpliwości czeka. Po nieszporce już, do dom szybcij pójdziem. Gałęzi i kory my nazbierali i zajęca z sidel trafem wielgim zdybali. Pon leśnicy nie dalij jak wczora sidel musiał nastawiać wkoło, dwa insze widzieli my puste. Na koniec twoje sprawy, skoro my tak z Kubą uradzili. Takim to sposobem podejdziem ich.

No idźże, przecie to dla ciebie, smarku, gdzie zawracasz. Dawaj ręce, przy pniu klękaj mi. Dość tego, klękaj. Lewe kolano, prawe, klęknięte. Dawaj łape lewą na ten pniak. Usta ci zasłonie, pomoże, głowe ci odwracam, raz-ciach.

– By śnieg spalił – aż mie sie wyrwało, jak sam głowe żem odwrócił i widze, co z oddali miga.

Z wiatrem galop stamtąd idzie. Oczy mruże, ręką przesłaniam, o Jaśku zapominam. Ten sie wyrывa i za wozem chowa. Utrapienie z nim. Lepij siedź tam, boć z dała niepewno, kto

tak pędzi. Siedź a głowy nie wychylaj. Z Kubą wychodzim naprzód, uciekać za późno i nie ma gdzie, a zajęć na wozie schowany na amen, to nie wypatrzą.

Jeździec kawalek od wozu zatrzymuje się, przedziwny jakiś. Sukmany chłopskie, ino syćko nowiuśkie się widzi. Kapelusik cacy. Kapelusik do sukmany. Kuba tak nie nosi. Abo stroi się caluśki albo przyodziewa jak każdego, jak teraz.

Na szyję zawiesił obrazek z Panienką Częstochoską, nie jaki wielgi, ale przecie widać. Na co mu takie ozdoby. Ja czego takiego w życiu nie widział. Łypie na Kubę, nie rusza się. To i ja nie ruszam się. Dziwno tak, ale Kuba lepiej wie, co robić. Patrzą na siebie, Kuba z tym jeźdźcem cudacznym, aż jeździec odchrząkuje trochę.

– Pochwalony – nam tu zaczyna ino bez przekonania.

– Na wiek wieków – godam z Kubą. Jak się wita, to pewno dobrze.

– Gospodorze, kędy do Kamienicy? – rzeknie. – Konia mię spłoszyli leśniczy – rzuca jeszcze, a mię strach zdejmuję.

– On gdzieś tu? – mię się wyrzywa a rozglądam się wkoło.

– Het stąd – prosto do mię goda.

Niby spokojności w głosie nie ma, ale strachu wielkiego jednako nie czuć, to chwala Bogu. Pon leśnicy niech się siedzi het tam. Macham mu ręką, coby pokazać, jak do Kamienicy jechać.

– Warty jakie są po drodze? – trochę pewniej dopytuje a mię dziw bierze, co się tak dopytuje.

– Czego szukacie? – Kuba chrząka z uśmiechem, ino nieswojem. Pewno i jemu ten jeździec cudakiem się widzi.

– Do Kamienicy pilno – do Kuby daje. – Do karczmy.

Kuba głową ino kiwie, a węża kręci ręką, co to na niej dwóch palcy nie ma. Jeździec patrzy na te ręce, jakby coś mu świeciło

abo sie jej bał. Może nigdy takij łapy bez palca nie widziol.

– Wyście Szela? – pyta, jakby se co wspomniol.

– Gdzieście o mie słyszeli? – Kuba pyta a czape unosi.

– W okolicy mówią – tak odrzeknie, a Kuba znów kiwie, to i jeździec bardzij zachęcony sie zdaje. – Na ucisk się skarżycie. Dziedzice wam tu nieprawo gospodarzą.

– Czorty wcielone. Pon leśnicy jednako! – mie sie wyrywa, boć i mie co godać trza.

– Aż do Tarnowa skargi nosicie – do Kuby sie odezwie, a do mie nie łaska.

– Was nie cisno? – Kuba niby pyta, a dziwno pyta, jakby wiedział, co ten jeździec rzeknie.

On kaszlem zanosi sie a dłużej na niego patrze, boć z nagle nieswój zrobil sie. Na Kube łypie, on do tego jeźdźca malowanego idzie. Koń jego w miejscu drepta niespokojny. Kuba cmoka, za uprzęże chwyta i głaskaniem wnet uspokaja.

– Tu każdemu bieda ta sama – pon jeździec do Kuby nachyla się, a oko mu błyska.

– Wam to kapelusik i kapota cacy – mu chwale, jak ten błysk widze.

– Każdemu bieda – do mie łaskaw, ino zaros znów do Kuby sie zwraca. – W niewoli siedzim. Na ziemi, co to wszystka nasza była.

– Nasza. Nam na pońskie z rana trza. Na dziedziców ziemie – Kuba mu goda, dobrze mu goda.

– W diabły z pańskim. Panienska Częstochowska dopomoże. I wy sami.

Tako jaśnieje, co ten obrazek na szyi. Kuba z powagą wielgą po uprzężach ręką jeździ, unosi je trocha. Nowiuśkie jak nic, ani zadry. Pon jeździec lejce ściaga, a Kuba znów uprzęże unosi. On o takowych jeźdźcach koło żniwa godoł. On tedy widziol

takich ponów w sukmany przebranych a i po inszych wsiach ich widzieli. Emisaryjusze, Kuba godo! Z chłopem by sie bratać chcieli. My przecie zbratani żeśmy. Nam dobrodzie a pony same prawią, co my od Haina wywiedzeni, a one od Abła. Bracia byli, pisma mówią, ino sie skłócili. Jak jedni oddadzą drugim, będziemy pogodzeni. Jak my syćko na głos powiem i dostaniem, co to nasze, tedy równi bracia będziemy. Tyla czasów przeminęło, to i tak sie wymieszało. Każden widzioł, jak dziedzice dziewczki biorą, chocia żaden sie nie przyznał. Sie przyznają, nam gospodarować samym dadzą, to tu syćko pikno będzie. Ino im sie to nie widzi, same by se syćko brały, a nam z tego by rozkazywoły.

– Piknie pon goda. Nom to na co? – mie sie wyrывa w tem milczeniu.

– Wspólnym trudem ziemię odzyskamy – pon ku mie rzeknie. – Nie ma cesarza, nie ma pańskiego.

– Ziemie to nam cysorz obiecują – Kuba sie odzywa, Kuba to wie. – Z Boga błogosławieństwem.

– Cysorz obiecują, cysorz dają! – trocha krzycze, boć co ten emisaryjusz tu.

– Kiedy wam co dali – pon chce ze spokojnością, a ja słysze, jak mało spokojny prawi.

– A pony nam co dacie? Dziedzicom naszym zabrać możecie? My do cysorza możem wnosić skargi na dziedziców samowole. Trza napisać, cysorz prawo zarządzą – od Kuby musi słuchać. Dobra nasza, więc mu, więc.

– To wam pomogło? Pracujecie od świtu do nocy i nic z tego macie. Chcecie jak ojce w nędzy i niewoli zemrzeć?

Ja łypie na Kube, boć znów coś milknie. Oko mu drga, czoło trocha marszczy.

– W karczmie jutro mię spotkacie – pon jeździec rzuca mu.

– Jak was wołać? – Kubie mowe wraca.

– Julek.

– Goslar, jako mówią? – Kuba pyta, a on nijedno wie i nijednego zna. Pon jeździec ino przytakuje, jakoś dumny sie widzi na takie pytanie. – O moście ponu jednako w Tarnowie wiadomo. Starosta mówili.

I znów cichnie, aż słyhać, jak ptak sie z gałęzi obok podrywa, jak nam nad głowami trzepocze. Pon Gozler patrzy za niem, ja tak samo patrzam. Jemiołuszka zwykła.

– My to już słyszeli, drugi roz tu niepotrzebno – mu rzekne, jak se w te samą strone patrzym. – Dziedzice to chłopów chceta bić – dodaje, co w karczmie my słyszeli. – My to już widzieli!

– Wy wszystkimu wiarę dacie – tak mie częstuje. – Bić? My was do walki pospołu prosim.

– Tu pospołu ino śnieg pada. A tem to sie nawet chłop nie naje – Kuba i tak umie. Niecha mu więcą nagoda, mie tam tyła nie wiadomo, co jemu.

– Chleb będziecie jeść, z własnej ziemi, jeno zawalczyć nam trzeba – pon namawia nas, a mie sie zdaje, że i siebie jednako.

– Chłop taki sam Polak jak dziedzic, z dziada pradziada.

– Chłop cysorski, jaki Polak. Polaki to dziedzice, a my nie z dziedziców – godam, co nam ojce wprzody godali.

– Wasze ojce, dziady gdzie rodzone? U cesarza? W polskiej ziemi!

– Na dziedziców ziemi – Kubie pomału w głosie niecierpliwosć zbiera, choć gębe spokojną trzyma. – Co na wojnach cysorz od ponów ją wygrali. Chłop jak dziedzic? Wpierw tak samo jeść musim. Pon widział, co tera chłopcy jedzą? Pozabijaliby sie za ochłapy, co pońskie świnię mają. Chłop ze wsi iść nie może, a pon se wszędy wolno jeździ. Nas za to w karcer dadzą. Pon widział dziedzica pod kościołem

wystawionego? Nie? Ja też nie. A każdy grzeszy. I my takie same.

Pon jeździec ino oczy mruży, on tak samo niecierpliwy się zdaje, ino nie odzywa się.

– Tam! My tu swoje sprawy mamy, przed zmrokiem pilno. Moście ponu też – Kuba odrzuca a uprząże mu zwalnia i do Kamienicy macha.

– My to zmienić можем. Jutro w karczmie! – pon odzywa się a lejce ściąga i pomału ku Kamienicy zawraca. – Z Bogiem.

– Z Bogiem! – mu na odjezdne krzykne a oddech biore. – Skurwy-ciarachu! My se bez was rade damy!

Patrze na wóz, Jasiek głowę wychyla. I dobrze, godać będzie umiał. Za pazuche biore go, pod pieniek już. Kuba czeka. Czasu tyle my stracili na czcze godki, aż zmierzcha wokół.

Raz-ciach, lewe kolano, prawe, klękaj mie tu a łapa na pień. Tyś mie chłopak jedyny, musisz w chałupie zostać. Pomoge ci, Jaśku, zacisne kciuka, wskazującego i środkowego palca, głowę odwróce i przytrzymam. Mały i serdeczny na pieniek.

– Wejrzyj na nas, święty Janie – Kuba powierza patronowi.

Na modlitwe głowę pochylam, Jasiek oczy zamyka, to nie widzi, jak Kuba na koniec żegna się a w rękach siekiere unosi aż ostrze błyska. Sam palców nie ma, a syćko umie zrobić, każdy mebel piknie wystruga.

No, Jaśku, dzielnyś mój chłopak. Nie mazgaisz się i ani żeś nie pisknął. Kuba wyjmuje kawałek płótna, łape ci obwiąże. I ja coś mam, ino za pazuche sięgnę.

– I po wojsku! – prawie śpiewem rzekne mu a butelczyne wyciągam i użytek robie. – Ostryjakom taka łapa do niczego!

– By was diabli! – Kuba mie tu z pretensją.

– Ino dziś, ku pokrzepieniu – bronić się musze. Rane przecie trza polać, szybciej się zagoi, a Jasiek do popicia ino kropelke

dostaje. Kropeczke, coby ból uśmierzyć. Jemu dziś należno.

– Bóg was osądzi.

Tak Kuba w zwyczaju swoim ma. Jak nie diabeł, to Bóg ukarze. To nam spokoju nie ma, boć przecie i pany dziedzice co dzień by nas karać chcieli. Ja nieraz słyszoł, jakoby Bogu świeczke, a diabłu ogarek. Tedy kary omijają. Ale pany dziedzice tak se to sprytnie obmyśliły, co my syćko im oddajem i ani świeczka nam sie nie ostaje. Tedy to i ogarka skąd brać nie ma.

Kuba świeżym śniegiem krew zasypuje, co wokół pnia bryzgnęła. Siekiere pucuje i na wóz ją. To Jaśkowi jeszcze łyka wielgiego na pocieche daje, a i sobie co łykne, jak Kuba tu nie patrzy.



Ogień skoczył w górę i zatrzeszczał. Ileż to płomieni wzniecają dwa drobne polana. Przemilo łaskoczą po twarzy. Wrzuciłabym więcej, karczme otoczyłoby ciepło, ale zima tak niełaskawa, że nakazem Rachelki oszczędzamy na czarną godzinę. W kandelabrze pod sufitem co drugą świecę zapalamy i co trzecią lampkę na półeczkach na ścianach. Przynajmniej kłopotów nie będzie, gdy jaki narwaniec znów zechce którą ściągać.

Dobrze, że pelerynki sobie uszyłyśmy. Powinnyśmy jeszcze jedno, skoro mróz tak przetrzymuje. Z czegoś, co do zimowych sukien bardziej się dopasuje. Albo chociaż trzewików. Albo fartuchów. Albo spinek z liliowymi oczkami. Ach, dobrze, że wciąż przynajmniej uczesaniem możemy się umodnić!

–Panno arendarzównowóweczko-o-o! Nam wódeczki-ih

tu jeszcze-eh-eh! Nam! – krzyczy od dużego stołu mocno wąsaty.

Większość już po głosie rozpoznaje, a przy tym upitość mierzę. A ten mocno wąsaty od tygodnia z dziurą na rękawie przychodzi. Że też w tym żupanie dziury nie widzi. Może za bardzo z podboku, gdzie jego podpity wzrok nie sięga. Ale że mu kto z łaski swojej nie powie. Zabieram im pustą butelkę. Drugą podaje tęgi. Oby ten konwersacji nie zaczynał.

Trochę nad głową, czy mam przysłyszenie? Niemożliwe. Brzęczenie. Mucha. Skądś się ty tu. Odchodzę z butelkami do lady, ale wzrok sam za nią podąża. Leć, leć. Pod drzwiami trafisz na cesarza swego pięknie sportretowanego i jego herb dwugłowy. Miłościwy Ferdynand darzy cię nadłaską, skoro zimy dał ci dożyć. Zostań tam i do cymbałów się nie zbliżaj ani szabli dziadka. Ani portretów rabinów, bo wszyscy byli z dziadkiem dobrze zaznajomieni. Ani pejzaży, które Rachelka przywiozła. U cesarza się umość, a za gościnę w nos go przytknij, jak twoje poprzedniczki. Na coś się przydaje, skoro nam go nad drzwiami powieszać każą.

Mrowienie przechodzi mi po plecach, czyjś wzrok do nich przylgnął. Chwytam go – przejezdny dzisiejszy. Z pape rozmawia, ale mnie wzrokiem wierci. Pape, on tu tylko na noc jedną, i tak nie ma innego wyjścia w okolicy. Jemu nasza atencja niepotrzebna, a nam jego. Uśmiechnęłabym się do ciebie, pape, ale do niego muszę przymknąć oczy i odwrócić głowę. Widzę cię w nowym, pięknie skrojonym surducie, który uszyjemy ci na wiosnę, jeszcze tylko trochę praktyki.

Brzdęk! Przy ladzie, ach! Rachelko, już wracam. Na brzdęk i przejezdny odwrócił się, odkleił się od pape. Idź, pape, idź, już lepiej zagaduj tych gospodarzy ze Smarzowej.



Ja słyszoł, czy ja słyszoł, o wsi, co Smarzowa zwie sie? Możem słyszoł, możem widzioł. Po co znów pytaće mie? Jam ino dziad wędrownny, nic tu nie szukam. Nikogo nie szukam, choć wiela znam. Kto mie znany a com słyszoł, moja sprawa.

Pon mie tu może piwem częstować a piwem upoić nie może. Tych dwóch obok upiļżeś, ponie. Mie upijać sie nie wolno. Mie upijać sie nie godno. Tedy byłby ze mie jaki żebraczyna. Pon jednakò nieupity, pon może pojmie. Pon nieupity, możem godać. Ino pon do siebie goda. Ci dwaj obok na stole przysneli, ja sie ponu stary widze.

A ja z tej starości więca o świecie wiem. Pon o walczeniu goda, ja walczyłżem za napoliońskich czasów. Pona ziemia tedy nie nosiła, jeszcze lasów nie znoł pon. My tak samo po lasach sie chowali, ino my to z wojska uciekali.

Wpierw żem myśłoł, w wojsku czego nas nauczą. To z początku strachu wielgiego nie było. Ja żem myśłoł, czytać, pisać mie nauczą. Teraz sam bym te kartki czytoł, co to w karczmie powiesili. A tam nic, ino jeden mie z łaski swej pouczył trocha. A niewiela. Ino wiedzieć chcioł, czy ja sie czego nauczyć moge. Moge. Rachunków mie trocha pokazoł i liter i więca nie chcioł. To jak w wojsku straszno sie zrobiło, my se szystko obmyślili. W las my uszli, bez bitew palce utracili. Bez tych palcy wojsko dalij nas nie chciało, reszte żywota darowało. Tedy o wojaczce swoje wiem i więca wojować mie sie nie widzi. Wole na tej ziemi być tułaczem niżli po nic walczyć.

Pon goda, iż na noc sie tu zatrzymie? Od rana głosić będzie wolnościowe mowy? A mie ludzia ze wsi zwołać na przemowy? To mie lepij głuchym abo głupim być. Ja nie z takich dziadów,

co monetą sie przekupią. Każden by chciół, i Ostryjak, i pany dziedzice, coby dziadem sie wysłużyć. Coby piosnki jakie takie po dziedzińcach śpiewoľ. Ja swe piosnki sam układam, ja swe pieśni za chleb głoŝe. Wole na tej ziemi być tułaczem niżli za cudze monety śpiewać. Jutro tu na zupe moģe przyjść. Arendarze dziadom dają, jak do poľudnia zapukają, a nic śpiewać nie kazają.



Drzwi otwarły się z impetem, bez pukania, bez ostrzeżenia. Porywem powietrza przywiało trochę śniegu. To oni. Nikt inny sobie na to nie przyzwala. Z trzaskiem zamykających się drzwi spadła kartka. Formalność, nieważność. I tak prawie nikt ich tu czyta. Tylko pismo Rachelki tam jest, ach!

Lewa-prawa-lewa-prawa. Wchodzi dwóch, a słyhać jakby dziesięciu. To przez przyciszone głoŝy wokół, nie moje imaginacje. Jest ich tylko dwóch, a wokół cichnie, głowy pochylają się, oczy unikają innych oczu. Tylko nasze się spotykają. Przemykamy je na moment, w tej samej chwili, w tej samej otwieramy. Rachelko, przecieź wiemy, co robić.

Bezpośpiesznie ścieram ładę, zerkam. Pod ich nogami cicho sunie ciemny pajak. Zauważa go niższy, szturchem pokazuje Franzowi. Pokaż, pokaż swoje kapraľskie umiejętności, Franz. Przydeptuje go, rozdeptuje. Jeszcze nie uniósł całkiem obcasa, a spod buta uciekają malutkie pajęczki. To pajęczycy, pajęczycy nosiła młode. Nogi obu stąpają, następują, tańccie, tańccie, jak wam pajęczycy zagra.

Patrzmy po sobie. Przemykamy, otwieramy oczy. Póľnucisz melodię majową, majową jutrzeńkę. Pape bliżej drzwi.

Przeciera monokl rękawem, pociera oczy, na powrót monokl montuje. Patrzą na policjantów, poprawiają posturę, śnieg otupiają. Powolnym wzrokiem robią inspekcję po sali. Gdy ich oczy są w jednym kącie, z innego wymyka się emisariusz z pięknym kapeluszem. Gdy ich oczy dowędrują do tego stołu, zastaną dwóch uśpionych z upicia gospodarzy i dziada, który czasem nazywa siebie Janem. Pape już zamknął za gościem drzwi. Możecie otupać buty, zapraszamy do lady. My nie mamy wyjścia. Ale wiemy, co robić.

–Dobry wieczór najmilejszym panom – wita ich pape, najlepiej, jak po cesarsku potrafi.

Kiwają głowami, na pape nawet nie patrzą. Wciąż robią obchód.

–Tutaj mamy stolik wolni – pape wskazuje stolik przy ścianie. Dopiero co uprzątnęłam, rozgośćcie się, rozgościmy was.

–Pozwoli pan, Herr Issak, że napijemy się przy ladzie – Franz nigdy nie korzysta z zaproszenia pape i zawsze odgrywa swoją ułożoną rolę. Jedyne, co mogłoby go ratować, to ładnie akcentowanie cesarskich słów. Choć nie. Nie. Jego kompana tym bardziej, bo czasem sepleni się.

Przywracają się ściszone rozmowy. Odkładam ścierkę, opieram się o ladę. Zapraszamy, choć możecie jeszcze drugi obchód zrobić, nam się nie spieszy. Na drugim końcu lady układasz porządek. Pape przechodzi do stolika w pobliżu, zerka na nas.

–Wiosna by się już przydała? – zagaduje gospodarzy.

–Ej ta, Mosiek, mrozy ido – jeden na to niepewnie macha ręką, Piotr chyba się zwie.

–Dyć post za pasem – drugi mu przerywa i po policzku przyklepuje, chyba Florek. – A dalej Wielkanocka, no i – wiosna.

–Jak Wielkanocka, to wam pońskie owce w rzece kąpać trza
– Piotr brzmi jednak trzeźwiej niż mi się zdawało.

–Aj, psie syny! Dwa dni we wodzie lodowatej – Florek przytomnieje na własne słowa. – Toby lepiej było, jakby ze mnie dusza poszła precz.

–Mróz ni mróz, ponom nic ni umknie i sie ni wymigasz.

Żegnają się, strach zapijają wódką. Pape ich pocieszyć nie ma czym, klepie po plecach tylko i przechodzi do kolejnego stolika, jeszcze bliżej nas. Franz puka trzy razy w ladę, przenoszę na nich wzrok. Obojętnieję, dygam.

–Czy może nas obsłużyć pani piękna siostra? – rzuca do mnie Franz. – Nie wygląda na zajętą.

Przytakuję głową, spoglądam w twoją stronę. Przemykamy, otwieramy. Ach, Rachelko... Podchodzisz bezpośpiesznie, witasz ich powściągliwym spojrzeniem. Franz wierci mnie, odsuwam się od tego wzroku. Wiem, co robić.

–Dobry wieczór, dobry wieczór – kompan Franza mówi z naprawdę kiepskim akcentem.

–To, co zawsze – Franz, oczywiście. – I pani uśmiech.

Dygasz im mechanicznie, mechanicznie ustawiasz dwa kufle piwa, a zanim zabierzesz dłoń, Franz chwyta cię za nadgarstek.

–Czy na panią jakieś nieszczęście spadło? – pyta ze sztuczną uprzejmością. – Ależ proszę pani.

–Proszę pana, nieszczęścia nachodzą ludzi codziennie – Rachelko, jak dobrze, że akcentujesz z takim spokojem.

–My możemy to jedynie potwierdzić – Franz oznajmia, jakby trafił na rozprawę sądową. – Ale to nie powód do rozpacz. Chyba że to pani własne nieszczęście?

Raz-dwa-ojej!

Upadły mi łyżki, małe, duże, łyżeczki, nożyk, nóż, miska, miseczka, micha, deska, deseczka, ach! Rachelko! Przecież

sama sobie z tym nie poradzę, wszystko się rozsypało!

–Przepraszam, siostra mnie potrzebuje – rzucasz i próbujesz uwolnić rękę.

–Ta pani siostra – Franz przewierca mnie głosem i wraca do ciebie – zawsze taka niezdarna. My potrzebujemy pani.

Dziękuję panu. Teraz proszę zwolnić uścisk. Dziękuję. Teraz piwem proszę zająć się. Dziękuję. Rachelko, chodź, chodź. Już. Sięgam po ten sam nóż, co ty, ściskam ci rękę, opanowujesz drżenie. Sprzątajmy powolutku.

O ładę głośno przystukuje kufel. Rzucam okiem, Franz już wypił. Jego kompan niewzruszony, pije wolniej. Pape idzie do nich. Ty nie odwracaj się, tylko wiesz, co robić.

–Piwo dziś dobra? – pape sili się na obojętność.

–Wolimy łagodniejsze – kompan wyrokuje, a kufel odstawia z hukiem, aż mu się odbija.

Dziękuję panu. Już biegnę do panów. Pape kręci do mnie głową. Nie trzeba mi podbiegać, ale przecież nie zostawię go samego.

–Jeszcze raz panowie uprzejmie życzą? – mogę ze swojego cesarskiego akcentu zrobić użytek.

–Nie dziś – Franz zawsze znajdzie dla mnie jakąś odmowę.

Wstają, rzucają krajcary, pape kłania się im. Dziękujemy panom. Przy sprzątaniu omijam monety. Pape przysuwa sakiewkę, zsuwam je do niej ścierką. Od drzwi dobiega trzask, wzdryga mną. Zsuwam kufle do miski z brudnymi naczyniami. Już.

Idę ku drzwiom od zaplecza, raz-dwa-trzy-stukam-obcasami. Jesteś tam, uśmiechasz się. Wychodzisz spod tej lady. Zostaw ten schowek na naczynia, książki, stare gazety, nawet fuzję tam upchnęłaś. Chodź. Pocałuj mnie w czoło za piękne przedstawienie. Ja przytulę cię za twoje.

–Karczma dla nas jeno! – tęgi głos zaczyna swoją podśpiewkę z kuflem w górze.

Przy stole wszyscy waszmoście w żupanach całych i dziurawych wiwatują kuflami. Że też takie duże stoły pape naustawiał dwa lata temu. Żupan z dziurą przynuca chwilę pod mocnym wąsem, szuka melodii.

–Dalej chłopcy, dalej żywo! – zrywa się, nawet słowa pamięta.

–Otwiera się dla nas żniwo! – reszta przy stole pamięta dalej.

Jego Tęgość i Jego Wąsatość ruszają wokół stołu pokrakowiakiem. W przód i krok, podskok, krok, krok, podskok, obrót, skok, ręka w górę. Pape biedak próbuje usadzić żupany. Krok, krok, uciekajcie, ręce w górę, krok, skok. A od stołu obok zerkają gospodarze. Krok, krok, gońcie się.

–Rzućwa pługi, rzućwa radło! Trza wojować!

–Moście pony, wyśta pługa nie tykoli – wyłysiały gospodarz rzuca mimowolnie, patrząc bardziej w kufel niż na hołubce.

–A od czego u nas jesteście, chamy! – wybity z rytmu Wąsatość wybucha śmiechem aż do zakrztuszenia.

–Muzykę tam już mamy – ponagla go pape i ciach, korzysta z jego dezorientacji i usadza.

–Ale wy to znacie! – Wąsatość nalega, głos mu nieco oprzytomniał. – Szabelkę macie.

–Nie moja – pape jak zwykle ma rację.

–Panny się wprawiają? – Tęgość pyta, pape milczy. –Mosiek, przecie kaźden wie! Wasze, nasze! Pragnienie nam teraz jednakie! – wykrzyknieniami deklaruje się.

Obaj unoszą do pape kufle. Wąsatość siedzi na dobre, odańcowało mu się. Tęgość stracił kompana, sam się usadza i tylko kuflem wywija. Upija na szlachetne zdrowie, w piersi się bije, aż czkawką mu się odbija. Tych pape też może jedynie

poklepać i przejść dalej. Tęgości aż oczy się mgłą, może nadzieją jaką. Pape spogląda na kościuszkówkę, poprawia monokl, odchrząkuje do siebie.

Na chwilę przycicha. O okno rozbija się śnieg niesiony wiatrem. Drzewa szumią огоłoconymi ramionami, księżyc pokazuje się zza chmur i za chwilę znika. Niech ten wieczór się już skończy.

Drzwi otwierają się, znów wpada trochę mrozu i śnieżnego mroku. Wchodzą powolne kroki. On u nas nie bywa, ale tej postaci nie da się zapomnieć. Z wąsów ściera resztki śniegu, patrzy wokół. Przy stołach gospodarzy ustają rozmowy, sprzeczki, szturchania. Wszyscy śledzą jego ruchy, niektórzy wstają.

–Pochwalony – nie musi mówić głośno a gospodarze posłyszają. Wszyscy inni słuchają przynajmniej z ciekawości. Jakub Szela.

–Na wiek wieków – gospodarze chórem oprzytomnieli, poza tymi, co już na stołach pośnięci.

Ci, którzy wstali, siadają. Szela idzie do stołu, przy którym usiadł jego syn, Staszek. Z powolnym zdecydowaniem kładzie mu rękę na ramieniu.

–Nieposłusznyś głosowi memu – rzecze stanowczo i zmusza go, by wstał.

–Gospodarzu – pape zaczyna uprzejmie i ostrożnie zbliża się – zapusty macie.

–Pozwolenia nie dawałem – zwraca się do pape, ale nie oczekuje odpowiedzi.

–Już rosły chłop z niego – pape nieco ścisza głos. Wolałby tej rozmowy nie prowadzić. Awantura jedna dziś już była, wystarczy.

–U ojca siedzi! – Szela podejmuje, choć jemu rozmowy z

pape też się nie widzą. Ale gdyby nic nie odpowiedział, pewnie miałby się za przegranego. – Cór se, Żydzie, doglądajta, a mię od syna wara.

–Dwa grajcarey jeno winien – pape replikuje z odchrząknięciem. Doskonale.

Staszek rzuca mu spojrzenie, które przyjaznym trudno nazwać, a na stole lądują dwie monety. Szela odwraca się ku sali. Gospodarze zwiesili głowy, unikają jego wzroku. Wiedzą, co powie, ale nie potrafią zapobiec temu na czas.

–Biada wam, którzy jesteście mężami dzielnymi w opilstwie – taki mają od Szeli wyrok. Dziś i kiedykolwiek tu trafiają.

–Tu karczme, nie bożnica – pape ścisza głos z niechętnym westchnieniem. Pewnie też chce, żeby wieczór się skończył. A przynajmniej to przedstawienie.

Szela korzysta z uwagi i światła, które płynie na niego z naściennej lampki. Wiedział, jak się ustawić. Chwyta stółek, na którym przed chwilą siedział Staszek, stawia go pod lampką, nie, nie, ach! Chwytem ściąga ją, zdejmuje klosz, wodzi wokół płomieniem. Pape obok zamarty, ale w porę do niego podchodzisz, ściskasz mu dłoń. Błado uśmiechacie się do siebie.

–Z głodu zemrą, a wódki pełne – Szela deklamuje z pewną dramatyczną teatralnością, choć trudno nie doszukiwać się tu prawdy.

–Gospodarzu, prosimy, odłóżcie lampkę – zaczynasz ze spokojem swoim. – Tu nie wasza chałupa.

–Ale wieś nasza – zwraca się ku tobie, zeskakuje, zbliża się z płomieniem. – Moja. A jam u cysorza reprezentacja za całą wieś.

Zerkasz na pape, ściskasz mu dłoń, chwila, chwila. Patrzysz na Szelę, zdmuchujesz płomień. Ach!

–Wybaczcie, gospodarzu.

Szela mierzy cię wzrokiem. W plecy uderza go śmiech żupanów, trafił im się spektakl.

–To ten wasz? Ten? – Wąsatość szuka. – De...

–Denun... Den... – szuka i Tęgość. – Denuncjator!

–Denun... – Wąsatość pijacko unosi kufel. – Co to se syna na lekcje posyła. Koniec świata, tak się świniarzom we łbach przewracało.

Szela zaciska pięści. Wie, że dalej kazania nie będzie. Rozkłada dłoń z trzema palcami, chwyta Staszka za ramię. Popycha go ku wyjściu. Tuż za nimi wychodzi kilku innych gospodarzy.

Reszta wychodzi stopniowo, mniej podpici wynoszą zapitych. Przy stołach zostaje kilku ostatnich. Pomożemy wam. My posprzątam, pape was porozlicza. Zbieram ze stołu przy ścianie ostatnie puste kubki, dopełniają górę zbiorów w misce.

–Pikne ponny, wtornik znowu bedziem – odzywa się niższy, choć nie sędzę, żeby moja twarz mówiła, że jestem w potrzebie konwersacji.

–We wtorek zamknięte – rzucam pośpiesznie i wskazuję kartkę na ścianie obok.

Śmiech. Niższy zrywa ją, obraca w odmrożonych dłoniach, pokazuje kompanowi. Ten przejmuje, też miętos. Nie miętoś, to pismo Rachelki! Ale im wszystko jedno, żaden nie umie czytać.

–Wesele – streszczam.

–A jako żywo, przyjdziem na wódecke – wyższy ożywia się.

–Nieproszeni. U nas wódki nie ma.

Nie dają za wygraną, choć dobrze widzą, że u nas wódki nie ma i nawet, jakby proszeni byli, kropli by nie uświadczyli. Nucą skoczną melodię, niższy wybija rytm odmrożonymi dłońmi.

Wieczorze, idź już.

–Szła ponienka po wode-e, miała piekno urode-e – i on znalazł słowa do swojej melodii. – I napotkał ci jo-o pon, i stłukł jej zielony dzbo-on.

Biorę rozmach, ściagam ostatni kubek. Koniec tych uprzejmości. Sięgam po kufle na stole, przy którym siedział gość z pięknym kapeluszem.

Ach!

Szkoło się tłucze, miska sama z rąk mi leci.

Dwa kroki ode mnie łąduje kamień. Miska z brzękiem obija się o podłogę. Kubki, kufle, wszystko wypada. Do stóp przywiewa mi pojedyncze płatki śniegu. To z okna, z okna rozbitego. Gospodarze już nieskocznici. Milkną, z przestrachem żegnają się trzy razy. Ach, Rachelko!...



Ja widział, chwile temu widział, jak wy ku dworowi szliście. W płaszczu długim, w butach lśniących, w czarnym kapeluszu. Z czerwoną tasiemką, z piórkiem czerwonym.

–Pochwalony! – z dalsza rzekne.

Na ganku trzy razy żegnacie się, buty ze śniegu otrzepujecie w schyleniu. Ta ściana, co się o nią oparliście, kune trzyma. Widzi się jak kościelna kuna.

–Pochwalony! – powtarzam, boć zdaje się nie słyszeliście wcześniej.

–Na wiek wieków pochwalony – mówicie a odwracacie się.

–Gospodorzu – zaczynam a ide jak mie szybko iść się da – cosik zgubiliście.

W wyczekiwanu głowe przechylacie trocha, wypatrujcie

oczy. Mie już blisko, już przy drzewkach zimowo otulonych ide. Macham waszym piórkiem czerwonym, co po drodze z kapelusza wyfrunęło. Kapelusza ściągacie ku obejrzeniu swemu, na powrót zakładacie. Pokłon za piórko mie należny do pasa bijecie i drżącymi rękami je bierzecie. Moje ręce zimowo opatulone całujecie i swojemi do płaszcza sięgacie.

–Aj, nie, gospodarzu – uprzejmie odmawiam. – Mie jałmużne dzisiaj nie potrzebno. Bóg dobry was prowadzi.

Mie na nic monety z płaszcza. Możecie się im chwila przyrzyć, jak tak błyszczą obok piórka, nim śnieg się na nich osadzi. A mie przed siebie iść trza.

–Niechaj nieprawości świata tego znikną, jako i wy znikacie – do płatków śniegu się topiących rozmawiacie. – A nam ziemskie trudy niech nagrodzonymi będą. Tak mi dopomóż Bóg.

Mie iść, wam monety i piórko chować, do drzwi pukać a o waszych sprawach we dworze rozprawiać. Otwiera wam młodziutki lokajczyk, dziecię, co się wąsem jeszcze nie obsypało. Nim zamknie drzwi, Wiktoryn pan Bogusz policzek wam wymierza.

–Czapka, chamie! – dokłada do tego.

Cóż zrobić możecie, cóż. Ino kapelusz ściągnąć, głowę pochylić. Wiktoryn pan ręce podsuwa wam. Gęba może od zaciętości skonać, a całować musicie. Jedną, drugą. Byśta nie pocałowali, to ta flinta za pasem Wiktoryna pana by pocałowała was. Bez rąk całowania, nie byłoby o waszych sprawach rozprawiania.

Ja późnij widzioł, przez okno widzioł, jak Stanisław stary pan Bogusz w szlafroku ciężkim a ozdobnym przy stole swym wielkim w kancelaryi swojej usiodł. Siada a pismo z pieczęcią cesarską wyjmuje, Wiktoryn pan w fotelu rozpięra

sie. Tłumacz pan na baczność obok stołu stoi, wy pod drzwiami z rękami na kapeluszu zaciśniętemi. Ze ścian zerkają na was konie dwa wymalowane na kasztanowo, a za plecami szabelki dwie na podziw wywieszone. Z płaszcza wyjmujecie pismo z pieczęciami jednakimi jak u Stanisława pana, co to chwila temu do tłumacza pana je podsunął.

–Odszkodowanie należy się za jeden dzień – wam a panom z cesarskiej mowy przekładać zaczyna. – Za dalsze trzy dni nie należy się. Od niniejszej decyzji przysługuje łaska odwołania.

–Figa, chamy! – Wiktoryn pan pokrzykuje a zrywa się. – Zgubi was wieczna niewdzięczność. Źle wam tu?

–Czas jeno zajmujecie – Stanisław pan odburkuje a ręką mach, drzwi pokazuje. – My się odwołamy. Wy znów wyjdziecie na przestępcę. Prędzej własną rękę zjem niż wy wygracie.

–Za tłumacza wy płacie – Wiktoryn pan na powrót usiada z temi słowami. – Tak się wam opłaca to donosicielstwo.

–Z Bogiem – ino tyła słów dla nich macie, a na kapeluszu palce mocnij zaciskacie.

Wiktoryn pon zrywa sie, lewa-prawa-lewa do was podchodzi, ręce wyciąga, lewa-prawa. Wam palce na kapeluszu mocnij zaciskają się. Oczy przymnijcie, ręce całujcie, ino chwile to trwa.

–Bóg zapłać – im sie odzywacie, z udawaną głośnością.

